



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Jan Chryzostom Pasek pisze swój pamiętnik.

Rys. A. Zaleski.

Kto był pan Pasek?

Dziwnie się zwał i ani w historii o nim słyhać, ani urzędów wielkich nie piastował, prawda, a jednak wszystkie pisma umieszczają życiorysy pana Paska. W dzisiejszych Wieczorach znajdziecie także młodzi czytelnicy, ryciny, które go nam przypomną. Czemże więc zasłużył na wdzięczną pamięć u swoich? Czem odpowiem krótko:

Rozumnie napisaną książką.

Jan Chryzostom Pasek, szlachcic herbu Doliwa urodził się za panowania Jana Kazimierza Wazy. Lubił przytem podróże, często też do Gdańska z pszenicą robił wyprawy, a że umysł miał bystry, dowcip wielki, więc gromadziły mu się w pamięci wspomnienia zdarzeń ważnych, ludzi znakomitych, obyczajów dziwnych. Tak przysłała starość.

Zaprzagnął służyć radą mądrą, nauką zdrową, słowem żywym. I stworzył dzieło proste, dał pokoleniom idącym po sobie obraz życia, cnót i walek ich ojców, napisał swój pamiętnik.

Ostatnią o nim wiadomość mamy z 1702 roku, ale choć autor nie żyje oddawna, dzieło jego rodzi się na nowo co lat kilkanaście, a nawet częściej jeszcze. Dziesięć razy drukowano już sławny „Pamiętnik Paska.”

Z. B.

WAKACYE W WARSZAWIE.

POGAĐANKI O ARCHITEKTURZE

przez

Waleryę Marrené - Morzkowską

(Dalszy ciąg).

— Nie, nie ojczu — zawołał Tadzio — tam w portyku pierwszego piętra głównie są zupełnie inne, składają się jakby z jakichś liści.

— Ale ja takich liści nie znam — wtrąciła Halinka. — u nas takich niema.

— Są to liście akantu, który rzeczywiście u nas nie rośnie, a takie głowice zowią się korynckimi, bo naprzód w Koryncie wytworzone zostały. Jest nawet legenda o ich pochodzeniu.

— Opowiedz nam ją ojeze!

— W Koryncie umarła młoda dziewczyna. Nianka jej przyniosła, według pogańskiego zwyczaju i postawiła na grobie rzeczy ulubione przez zmarłą, i ażeby je ustrzedz od szkody, przykryła kosz czworograniastą dachówką. Na wiosnę wyrósł na grobie krzak akantu, a liście jego rozchylając się około kosza, oplotły go dokoła. Wypadkiem, rzeźbiarz Kallimach przechodził tamtędy i uderzony został wdziękiem w ten sposób ułożonych liści. Patrząc na nie, powziął myśl głowic złożonych z akantowych liści, które nazwano korynckimi z powodu miasta, gdzie najprzód je wykonano.

— Widzisz — odezwał się Tadzio do siostry — jak to trzeba uważnie patrzeć.

— Tak, ale naprzód trzeba być artystą, takim jak Kallimach — odparła Halinka — bo cóż z tego, że ktoś coś pięknego zobaczy, jak tego oddać nie potrafi.

— Chciałbym. przecież widzieć prawdziwy akant — wyrzekł Tadzio.

— Zobaczysz go zapewne kiedyś w naturze — powiedział pan Jacyński — a tymczasem przypatrz mu się na głowicach kolumn i całym kolumnom.

— Proszę ojca — wyrwała się Halinka — kolumny korynckie, podobają mi się lepiej od doryckich.

A wiedząc, że ojciec żąda zawsze by uzasadniali swoje zdanie — dodała:

— Są smuklejsze, głownia wygląda ładniej i bogaciej. Nieprawdaż?

— To już zależy od gustu. Porządek dorycki odpowiadał poważnemu nastrojowi Grecy w wiekach pierwotnych, a Partenon, najpiękniejsza świątynia jaką zbudowali na cześć Ateny, była dorycka.

Dzieci szły dalej, przypatrując się gmachowi teatru, no, i trochę sklepom a najwięcej cukierni. Tadzio szczególnie ociągał się przy niej, kiedy Halinka zawołała nagle:

— Tu z boku są jeszcze inne kolumny. To nie są ani doryckie, ani korynckie.

Tadzio zaciekawiony zapomniał o cukierni i zrównał się z siostrą.

— Prawda, mówił, przypatrując się, ale tutaj te kolumny są wpuszczone w mur i tylko w połowie z niego wyglądają. Swoją drogą mają takie jakieś dziwne głowice z pozakręcanymi rogami.

— Te głowice — tłumaczył pan Jacyński, — zakończone są rzeczywiście zwojami podobnymi do baranich rogów, zwanymi ślimacznice albo esownice. Cechują one porządek joński. Kolumny w tym porządku były smuklejsze od doryckich. Chociaż kolumna uwięziona jest w murze, nie traci swego charakteru. Budowniczy który stawiał teatr, użył bardzo rozumnie tych wszystkich rodzaj, ażeby urozmaicić gmach przez siebie stawiany.

— A kto go zbudował, ojczu? — pytała Halinka.

— Plany wypracował Antoni Corrazi.

— Włoch?

— Włoch, moje dziecko.

— Dla czego Włoch? Czy u nas nie było budowniczych?

— Budowniczych Polaków było na początku XIX wieku niewiele, bo nie było ani szkół w którychby się kształcić mogli, ani wzorów, a co najważniejsze nie było u nas zaufania do swoich.

— Ale teraz przecież tak nie jest?

— Teraz te wszystkie piękne kościoły, któreśmy oglądali, stawiali nasi artyści, ale teatr zbudowano bardzo dawno, jeszcze w roku 1833.

— A dawniej, ojczu! dawniej, czy nie było teatru?

— Gmachu nie było, ale teatr grywano, tylko w daleko ciasniejszych salach.

— Gdzie, gdzie? — pytały dzieci. — Niech nam ojciec opowie.

— A wiecież, kto był prawdziwym twórcą naszego teatru?

— Wiem, wiem, Wojciech Bogusławski — zawołała Helenka — panna Jadwiga mi to opowiadała.

— Halinka to zawsze wszystko wie — mruknął Tadzio.

— Przed wystawieniem tego wspaniałego teatru, dla naszej sceny, Ryx, ulubieniec króla Stanisława Augusta, który mu oddał przedsiębiorstwo teatru, zbudował gmach odpowiedni na placu Krasińskich, naprzeciw pięknego pałacu tego nazwiska.

— Pokaż go nam też, ojcze?

— To byłoby trochę trudno. Budynek ten został zwalony przed kilku laty na na tem miejscu postawiono wielką, czteropiętrową kamienicę. Tam to jednak w nędznym z pozoru teatrze, zakwitła nasza sztuka. Grano tam tragedye: Ludgardę — Karpińskiego, Barbarę Radziwiłłównę Felińskiego, Żółkiewskiego pod Cecorą, Hummickiego i wiele innych. Sztuki te miały wielki rozgłos, zachwycono się niemi, oklaskiwano artystów. Teatrowi przewodniczył wówczas Ludwik Dmuszewski, zięć Bogusławskiego.

— Czy żadnej z tych dawnych sztuk nie grywają? — spytała Hania — jabym tak chciała je widzieć.

— Tych, które wam wymieniłem, nie grywają. Zdaje mi się, że z dawnego repertuaru grają jeszcze od czasu do czasu „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego.

— O ojcze! — zawołały dzieci, wznosząc do niego błagalne oczy.

Pan Jaczyński zrozumiał doskonale to spojrzenie i odparł:

— Zobaczymy, zobaczymy jak dziadzio będzie zdrów.

— Zeszłego roku — zawołała Helenka — dziadzio nas zaprowadził na Bożymira i Wandę i mówił, że tę pierwszą polską operę napisał Karol Kurpiński, do słów Józefa hr. Krasińskiego. W niej przynajmniej niema nic obcego.

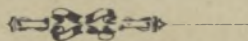
— Mama mówiła — wtrącił Tadzio — że doktor pozwoli niedługo dziadzi wstać z łóżka, to wtedy i my do niego pójdziemy. Ale to przecież nie dla tego, żebyśmy się nacierali, ażeby nas wziął do teatru.

— Dziadzio przez długi czas nie będzie mógł wychodzić ani się czemkolwiek męczyć — wyrzekł pan Jaczyński — ale jak będą grali Krakowiaków i Górali, to pójdę z wami.

Ogromna radość zabłysła w oczach dzieci. Dziękowały tak serdecznie, że zaledwie ich mógł uspokoić. W teatrze bywały rzadko, a nie było dla nich większej przyjemności.

Ta wycieczka bardzo się dzieciom podobała. Na zakończenie, ojciec zaprowadził ich na lody do Semadniego, na które ciągle slinkę łykały. Potem, orzeźwiwszy się poszli do Saskiego Ogrodu przez Wierzbową ulicę, bo pan Jaczyński miał jakieś sprawunki do załatwienia.

(d. c. n.)



Przygody królewicza Edwarda.

(Dalszy ciąg).

Stara wiedźma tak się zdziwiła, usłyszawszy te słowa, że stała jak wryta nie mogąc ust otworzyć; Cauty widząc

jej zdziwienie, głośnym wybuchnął śmiechem, lecz wychudłą kobietę i dwie młode dziewczyny scena ta przeraziła ogromnie. Podbiegły do dziecka, wołając:

— Tomie, biedny nasz chłopcze!

Po chwili matka Toma zawołała z płaczem:

— Widzisz, wszystko to sprawiło twoje głupie czytanie, pomieślało ci się w głowie, ja wiedziałam, że to się źle skończy.

Książę spojrział na nią łagodnie i rzekł:

— Dobra kobieto, syn twój zdrów jest zupełnie, zaprowadź mnie tylko do pałacu króla, mego ojca, gdzie w tej chwili znajduje się twój syn, król cię za to hojnie wynagrodzi i odda ci syna.

— Król twój ojciec! O moje dziecko! nie mów tego, bo zgubisz siebie i nas wszystkich. Ocknij się z tego snu. Spójrz na mnie, czyż nie poznajesz twej rodzonej matki?

Książę przecząco potrząsnął głową i rzekł:

— Bóg widzi, że nie chcę sprawić ci przykrości, ale doprawdy ja cię nigdy w życiu nie widziałem.

Na to biedna kobieta nie rzekła już ani słowa, zakryła twarz rękami i gorzko zapłakała.

— No, dalej — zawołał Cauty, — wy próżniaki jakież. Nau i Betty jak śmiecie tak się zachowywać wobec księcia? Zaraz mi na kolana!

I znów wybuchnął głośnym śmiechem, czem ośmielone dziewczęta zaczęły go prosić, aby pozwolił Tomowi iść spać, gdyż jest okropnie zmęczony, a jak się prześpi, mówiły, to mu jego szaleństwo wywietrzeje z głowy i znów będzie dawnym, posłusznym Tomem.

Lecz straszny ten człowiek nagle zwrócił się do księcia i rzekł groźnie:

— Jutro musimy zapłacić komorne za pół roku, ile dziś uzbierałeś pieniędzy?

Na to książę:

— Nie obrażaj mnie, już raz ci powiedziałem, że jestem synem twojego króla.

Silne uderzenie w plecy było całą odpowiedzią Cante-go, książę się potoczył i byłby upadł na podłogę, gdyby go nie pochwyciła w ramiona biedna matka Toma. Zasłoniła go sobą i wszystkie razy i kułaki przeznaczone dla księcia, spadły na jej chudą, przygarbioną postać.

Książę wyrwał się z objęć biednej kobiety, wołając:

— Nie pozwolę na to, abyś pani za mnie cierpiała. Ten nędznik zostanie ukarany za obchodzenie się ze mną.

Słowa te księcia doprowadziły niegodziwego pijaka do wściekłości, rzucił się jak dzikie zwierzę na biedne zmęczone dziecko, katując przytem żonę i córki, które starały się sobą zasłaniać księcia.

W końcu zmęczył się niegodziwiec i zawołał:

— Teraz wszyscy spać! zmęczyła mnie ta heca.

Każdy z tych nieszczęśliwych legł na swym barłogu, zgaszono światło i wkrótce głośnie chrapanie Cante-go i jego ohydnej matki oznajmiło, iż twardo zasnęli. Wtedy Nau i Betty wstały pocichutku, otuliły księcia czem tylko mogły, a matka Toma gładziła go po główce, pocieszała, jak mogła cichym szeptem i dała mu kawałek chleba, który dla niego schowała, lecz biedny książę pomimo głodu tak był zbolały, że nie mógł przełknąć ani kawałka, podziękował więc grzecznie splakanej kobiecie za jej dobroć i prosił, aby się uspokoiła i spać poszła. Usłuchała go biedaczka i wkrótce cisza zaległa nędzną izbę.

Była już pewnie godzina dziewiąta wieczorem, gdy na podwórzu rozległy się liczne kroki, głosy i nawoływania. Po chwili ktoś silnie zapukał w drzwi mieszkania Cante-go.

— Kto tam? I czego chcesz?

Jakiś głos odpowiedział:

— Czy ty wiesz kogo uderzyłeś kijem na podwórzu?

— Nie wiem i nie jestem tego ciekawy.

— Ale zaraz będziesz ciekawy. Wiedz, że człowiek któregoś uderzył, to ojciec Andrzej, który w tej chwili wy-

dał ostatnie tchnienie, jeżeli nie chcesz jutro wisieć, to uciekaj natychmiast.

— Nieszczęście; — mruknął Canty. Zbudził całą rodzinę, wołając: — Wstawajcie i uciekajcie, bo jeżeli zostaniecie, to wszyscy zginiecie!

W pięć minut później wszyscy byli na ulicy. Canty trzymał mocno księcia za rękę i mówił do niego przyciszonym głosem:

— Nie wygadaj tylko naszego nazwiska, ty nieszczęsny głupcze. Ja prędko zmienię je na inne, aby omylić trop tych psów sądowych. Pamiętaj, milcz!

Zonie zaś, córkom i matce powiedział:

— Jeżeli nas rozdziela, to pamiętajcie zejść się przy London Bridge; kto pierwszy przyjdzie, niech zaczeka na



Przeprawa łodzią na sztucznej rzece w Kolumbii.

drugich przy bławatnym sklepie, tuż przy moście, a później razem pójdziemy do Southwark.

Idąc pospiesznie, uszli już dosyć daleko od domu; nagle ogarnęła ich wielka jasność i znaleźli się blisko rzeki, wśród tłumu wesołego, który śpiewał, tańczył i wydawał wesołe okrzyki na cześć księcia Walii.

Możemy sobie wyobrazić, co się w tej chwili działo w duszy prawdziwego księcia. Jedno tylko miał pragnienie, uwolnić się z żelaznej ręki Cantego. Na szczęście jego Canty przeciskając się przez rozbawiony tłum, popchnął silnie jakiegoś tęgiego a podpilego retmana. Popchnięty uchwycił wielką swą ręką za ramię Cantego i rzekł:

— Hola, przyjacielu! Nie śpiesz się do pracy, musisz świętować dziś, kiedy miasto Londyn podejmuje swego księcia.

— Nie mieszaj się do moich interesów — odparł Canty szorstko — puść mnie, ja nie mam czasu:

— Jeżeli nie chcesz się bawić z nami, to przynajmniej musisz wypić za zdrowie księcia Walii, inaczej cię nie puszcza.

— No, to dajcie mi czare, to wypiję, prędkaj!

A tłum rozweselony wołał:

— Dajcie mu czare, dajcie mu czare! bo jak nie wypije za zdrowie swego księcia, to wrzucimy go do Tamizy.

Przyniesiono ogromny puchar z pokrywą, retman po dał go ceremonialnie Cantemu, który biorąc go jedną ręką i niosąc do ust, musiał drugą unieść pokrywę. Tym sposobem uwolniony na sekundę książe Edward, rzucił się w gęsty tłum i za chwilę zginął w nim jak kropla w morzu.

V.

Bankiet w ratuszu.

Podczas gdy Tom czytał chciwie książkę o etykiecie dworu angielskiego, król Henryk VIII przebudził się niespokojny, mrużąc: dziwne, niemiłe sny! Już zbliża się koniec, czuję to. W tej chwili oczy mu gniewem błysnęły i zawołał:

— A jednak on pierwaj umrzeć musi.

Otoczający go spostrzegłszy, że król się przebudził, zapytali bojaźliwie, czy Lord Kanclerz, który już dawno czeka, może wejść teraz.

— Wprowadźcie go, wprowadźcie natychmiast! — zawołał król gorączkowo.

Kanclerz wszedł, ukląkł przy królewskim łożu, mówiąc:

— Według rozkazu króla, najwyżsi dostojnicy państwa zebrałi się w izbie Lordów i zatwierdzili wyrok śmierci na księcia Norfolk, a teraz pokornie czekają dalszych rozkazów waszej królewskiej mości.

Na te słowa dzika radość ożywiła na chwilę obrzękłą twarz Henryka, i zawołał:

— Podnieście mnie! Chcę osobiście stanąć wśród mego Parlamentu i własną ręką przyłożyć pieczęć na wyroku, który mnie uwalnia od...

Nagle głosu mu zabrakło, śmiertelna bledność oblała mu policzki i na pół martwy upadł na wezglowie. Podano mu wzmacniające lekarstwo, po chwili przyszedł do siebie i rzekł złamanym głosem:

— Niestety, tak czekałem tej chwili! Przyszła zapóźno, ale śpieszcie się, śpieszcie! Zanim doba upłynie, przynieście mi tu jego głowę.

— Stanie się według woli króla i pana — rzekł kanclerz — lecz ażeby mógł przyłożyć pieczęć na wyroku w imieniu waszej królewskiej mości, racz mi panie zwrócić pieczęć, którą mi odebrałeś.

— Pieczęć? A któż ją ma, jeśli nie ty?

— Przed dwoma dniami wasza królewska mość odebrała mi ją mówiąc, że własną ręką chce przyłożyć pieczęć na wyroku śmierci księcia Norfolk.

— Prawda, przypominam sobie teraz... Ale co ja z nią zrobiłem? Pamięć mi jakoś teraz nie dopisuje... Czuję się bardzo słaby... To dziwne, dziwne...

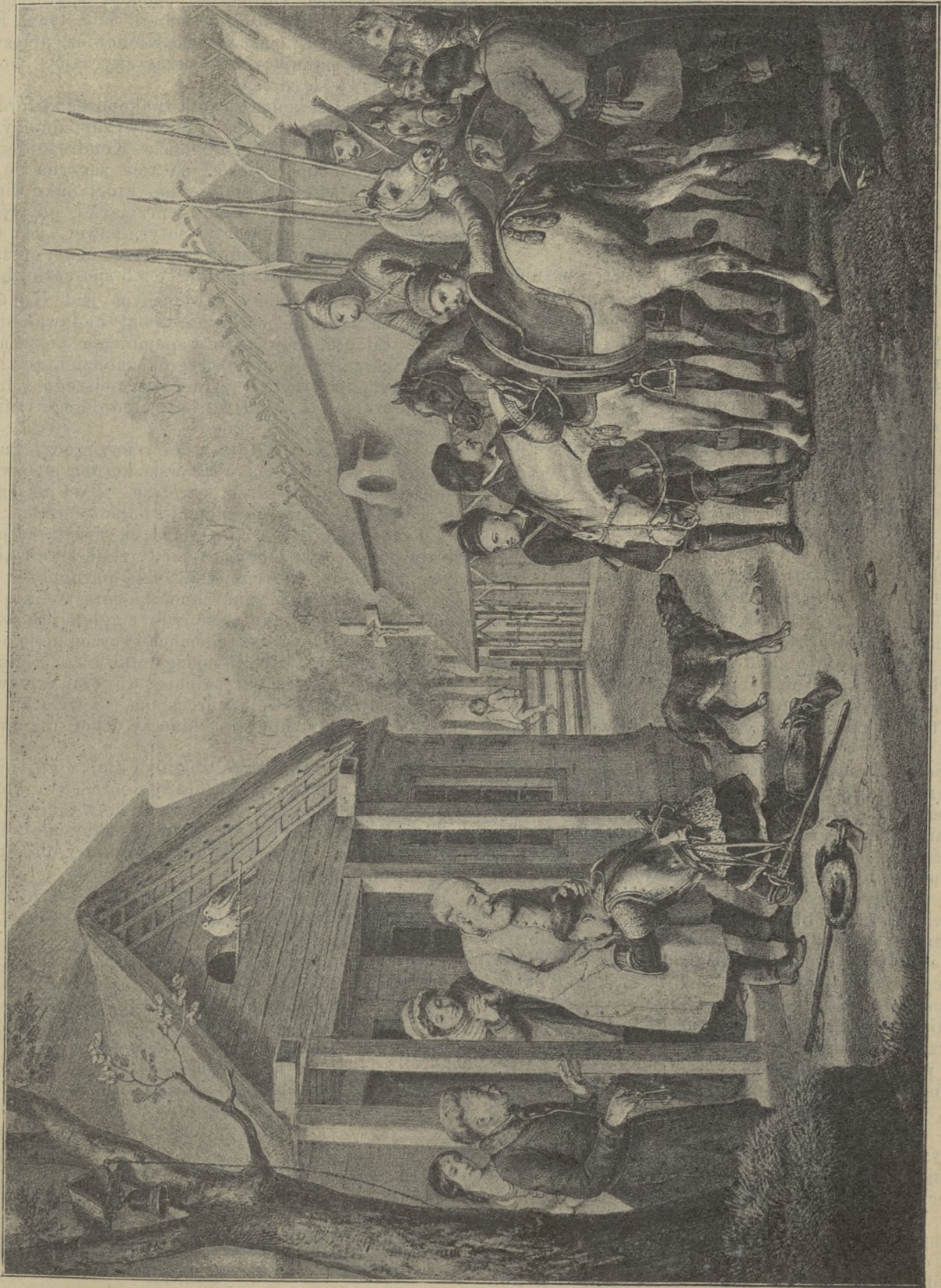
(d. c. n.)

Ludwik Kondratowicz.

(Władysław Syrokomla).

(Dokończenie).

Ojciec Kondratowicza był pochowany niedaleko od Borejkowszczyzny, koniec jego życia był bardzo smutny: wypędzony z dzierżawy, której nie mógł opłacić, wyszedł z niej prawie żebrakiem. Opisał go poeta przesłicznie w postaci starego Łagody, bohatera „Kęsa chleba,” tak jak własne wspomnienia szkolne, naszkicował w „Janie Dęborogu” i „Szkolnych czasach,” w których dał z natury kreślone wizerunki duchownych nauczycieli, każdemu z nich



Powrót do domu Jana Chryzostoma Paska z wyprawy duńskiej i powitanie z rodzicami.

Rys. A. Zaleski.

poświęcając kilka wierszy. Prześlicznie i zabawnie opisanym jest ksiądz matematyk:

Stary ksiądz matematyk, z rozczochraną głową,
Na jego białej szacie jest plama dwójaka
Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka:
Lecz za to jego serca nie skaziła plamka
Na dziesiąty, na setny ułamek ułamka,
Czułą i czystą duszę krył w pozór nieczuły,
W liczbach zakładał mądrość i wagę i miarę,
Ale nie liczył pulsów jak gra serce stare,
A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci,
Co się w liczbach pomylił, to Bóg mu odpłaci.
Wyborny także jest ksiądz *Niemiec*
... człowiek drobny, szczerupły, czarnowłosy
Co na nas, drobną trzodę uczniów i słuchaczy,
Nim się namyśli guiewać, to wprzódę przebaczy;
A kiedy chce którego upomnieć surowie,
Najeży się... namruczy — potem nic nie powie.

Bodajby wszyscy nauczyciele zostawili w sercu uczniów tak dobre wspomnienie. Uczyli oni widocznie z powołania, nie zaś dla rzemiosła, kochałi powierzono im dzieci i swą pracę. W roku 1856 Syrokomla odwiedził Warszawę, gdzie ruch umysłowy się wzmagał, myślał nawet o zamieszaniu tu na stałe, bo wielbiciele jego talentu namawiali go do tego; ofiarowano mu nawet redaktorstwo *Gazety Codziennej*, która potem zmieniła tytuł na *Gazetę Polską*. W Warszawie przyjmowano go hucznie i serdecznie, ale cóż, kiedy on nie był stworzony na redaktora; prosta i zająca jego natura, nie zdolną była do cochwilnych zabiegów, nie posiadała zręczności i znajomości stosunków, niezbędnych tak w życiu towarzyskiem, jak dziennikarskiem. Lubił przebywać z serdecznymi przyjaciółmi, którzy jak on czuli i myśleli, ale tak zwany świat ze swemi formami, sztywnością i konwencyonalizmem, był mu nieznośny, może dla tego, że do niego nie przywykł za młodu.

Przytem poeta nasz był niezmiernie skromny, zawsze myślał nie o tem co zrobił, ale o tem, czego mu nie dostało, więc głośne owacje, uczty, mowy pochwalne sprawiały mu istotną przykrość, wypraszał się od nich, krył, uciekał i często tym sposobem obrażał tych, którzy chcieli go uczcić.

W liście do Kraszewskiego z wielką szczerością opisuje swoje wrażenia warszawskie w następujący sposób:

„Byłbym niewdzięcznym, gdybym nie ocenił rzewnego, jakie mnie tam spotkało przyjęcia. Dano dla mnie obiad w *Rekursie Kupieckiej*, przedstawiono *Hrabiego na Wątorach*, (jedna z komedii *Kondratowicza*) w teatrze *Rozmaitości*, gdzie byłem wywoływany, wszyscy literaci, pseudo literaci i necenasowie literatury otoczyli mnie serdeczną życzliwością, ale wyznaje, żyćby tam nie umiał. Od ranka do późnej nocy we fraku, rozstrzelony, znużony, pracowałem cały dzień, nic nie robiąc, a pomimo gorliwości z jaką przyjmowałem i oddawałem rozliczne wizyty, czułem zawsze, że zostawił jakiś remanent, że się przed dobrymi ludźmi naraził na zarzut ich lekceważenia. Późno wracając do domu, chwyciłem papier lub książkę, ale przeskądzało mi całodziennie znużenie, a z ulicy turkot powozów, pisk katarynek, krzyk, gwar, o rozpacz przyprawiał.. Nie, to nie dla mnie...

Rzeczywiście, *Kondratowicz* miał słuszość.

Co najsmutniejsze jednak, wśród tych wszystkich owacy, pocie brakło powszedniego chleba i to bez żadnej przenośni. Kiedy w Wilnie, grano jego najpiękniejszy utwór „*Kacpra Karlińskiego*” i cały teatr rozbrzmiewał oklaskami i okrzykami na cześć autora, żona jego nie miała za co zgotować obiadu. Księgarz odmówił kilku rubli zaliczki i dopiero dzięki pożyczonym przez stróża paru złotym, cała rodzina uniknęła rzeczywistego głodu.

To ciągle pasowanie się z nędzą, mimo wysiłków pracy i skromnych nad wyraz przywyknień, było męczarnią całego życia *Kondratowicza*. Zabijała go wprost niepełność jutra dla żony i dzieci i ta konieczność wykonywa-

nia tłumaczeń marnych książek, gdy nie miał czasu opracować własnych pomysłów.

Jednak, pomimo ciężkich okoliczności, w jakich się znajdował, pomimo, iż zdrowie jego podkopały zgrzyoty a wreszcie nędza, nie pozwalająca na leczenie i wygody, jakich potrzebował, *Kondratowicz* nie upadł na duchu, pisał ciągle szczerze, serdeczne poematy, w których był mistrzem. Opisał prześliznie śmierć *Sebastjana Klonowicza* „*Zgon Acerna*,” jak się sam *Klonowicz* przezwiał z łacińska według panujących wówczas zwyczajów, bo *klon* po łacinie, nazywa się *Accernus*.

W smutnym końcu żywota znakomitego twórcy „*Worka Judaszów*,” który umiera samotny i zapomniany, w Bogu jedynie znajdując pociechę, może *Kondratowicz* miał na myśli samego siebie, chociaż na tem zaczyna się i kończy podobieństwo jego z *Klonowiczem*, który jako wielki satyrk, umiał sobie zrobić wielu nieprzyjaciół, gdy tymczasem u naszego serdecznego poety, satyra nawet, jeśli się kiedy odezwie, jest zawsze łagodna i pozbawiona tej gryzącej siły, znamionującej prawdziwych karcicieli społecznych.

Równie rzewnym i serdecznym jest *Kondratowicz* w „*Starych wrotach*,” których temat nadawał się bardzo do jego talentu, bo są to wspomnienia z życia księdza *Piotra Skargi*, wielkiego naszego kaznodziei, ze złotej epoki literatury, a przytem najmiłosierniejszego z ludzi i tak pełnego prostoty, iż lud garnął się do niego i miał zaufanie, jakby do równego sobie.

Pisał też *Kondratowicz* dla sceny rzeczy bardzo piękne, grane za jego życia, ale zawsze koroną jego wszystkich dzieł były gawędy dłuższe i krótsze. Tam to jego piękna dusza wypowiadała się najlepiej i najswobodniej.

Tymczasem nędza coraz bardziej ciężzyła na powszechnie sławionym i kochanym poecie, ztąd wyradzało się fałszywe położenie, którego czuł całą okropność. Zdrowie jego było oddawna zachwiane, pogorszyło się znacznie w r. 1859 i odtąd jego życie było ciąglem pasowaniem się z chorobą i coraz większą niemocą tworzenia, co powiększało jego męczarnie i czyniło nędzę dotkliwszą. Niekiedy tylko duch jego budził się z odrętwienia i wówczas w rzewnych słowach wypowiadał swoje udęczenia, aż wreszcie w r. 1862 umarł w Wilnie, zupełnie złamany, choć nie miał jeszcze lat czterdziestu.

W naszej literaturze zostawił ślad nigdy nie zatarty, ale zarazem i ciężki wyrzut dla społeczeństwa, które ceniąc poetę i wiedząc o ciężkich warunkach, w jakich się znajdował, nie potrafiło zapewnić mu spokojnego choćby najskromniejszego bytu i zawsze patrzyło z obojętnością na jego okropne położenie.

Sam sobie *Kondratowicz* napisał żatobliwie projekt do nagrobnego wiersza. Maluje on go doskonale bo w tym żarcie czuć ży.

Po obłokach się kołysał,
Wiersze pisał,
Czytał w książkach w noc i we dnie
Jakieś brednie,
Dał każdemu wieść się w pole
Jak pacholę.
A jeżeli rzec nawiasem,
L'łakał czasem.

Walerja Murrene.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Hanoi w sierpniu.

Wesoło się dzień wczorajszy zakończył. Dostałam list od cioci *Kostuni*, ale taki ciekawy i miły! My tutaj wszyscy Europejczycy żyjemy tylko pocztą. Ciągle na na-

szych ustach jest pytanie, kiedy przychodzi poczta, (*le courrier*) kiedy odchodzi. To cała nasza pociecha te listy i jedynie one nas wiążą ze światem europejskim i cywilizacją. Już wigilią kiedy statek ma przyjsć na wszystkie toiny słyhać: „*c'est demain le courrier!*” Niektórzy czekają na pocztę, sami listy odbierają i mają tam swoje skrzynki, przy których stoją już godzinę przed nadejściem listów i patrzą ciągle, czy z drugiej strony od sali pocztowej urzędnik im czego nie wrzuci.

Ciocia Kostunia pisała do mnie.

Droga Wańdziu!

Pamiętam, odjeżdżając mówiłaś do mnie:

— Chociaż się cieszę na podróż z rodzicami, to mi żal trochę, że nie zobaczę wystawy, którą zapowiadają jako ósmy cud świata. Otóż ja, jako kochająca cię ciocia, myślałam o tobie ile razy byłam na wystawie, i postanowiłam opisać ci to, co by cię mogło zająć. Muszę ci w tem miejscu powiedzieć komplement, to jest, że dziewczynkę tak rozwiniętą jak ty umysłowo, wiele nawet rzeczy bardzoby zajmowało, nie mówię już o wystawie zabawek, której wierzę mi Wańdziu, nawet ja, dorosła przyglądałam się z wielką przyjemnością. W tem miejscu, gdzie były zabawki, trudno się było zwykle docisnąć, tak wydział ten był przez dzieci obłączony; pchały się, wspiwały jedne przez drugie na paluszki, ojcowie, matki i niańki brali je na ręce, żeby lepiej widzieć mogły. Były tam zabawki francuskich i zagranicznych wyrobów, a zwłaszcza norymberskie, może słyszałaś, że pierwsze lalki w Europie pojawiły się w starym niemieckim mieście Norymberdze, tak, że dawniej w Polsce mówiąc o lalce, zawsze się dodawało norymberska lalka, stara to tradycja, to też prawie ze wzruszeniem wyczytałam u wejścia do sali: *Les jouets de Nuremberg*.

Bardzo to gustownie było urządzone, wózek prześlizczny, pełen ogromnych lalek stał na środku, prowadzony przez siwobrodęgo dziadka, zaśnieżonego, którego dzieci nazywają gwiazdowcem, wózek ten był zaprzężony w jelenie z ogromnemi rogami i wypełniony zabawkami najróżnorodniejszymi, które siedzące lalki wdzięcznie niby podawały wchodzącym dzieciom. Dalej było pole, niby to wszystko jak dekoracja teatralna urządzone, wieśniak orze, popędza małe wołki, drogą idzie kobieta, zatrzymuje ją podróżny i pyta o drogę, dalej szkołka: — dzieci wychodzą, rozbiegają się, gonią, bawią. Tu znowu inny obraz: pole bitwy, żołnierze, wojna, pędzi artylerya, ciągną armaty, a tu most, rzeka, forteca, chłopcom aż się oczy lśniły na ten widok! A tuż i kolej pędzi przez las, wpada w mały tunel, zajeżdża na stację, lalki podróżne czekają z torebkami, i znowu co innego: śliczna kuchenka, ogień się pali, kucharz w czapeczce mięsza w złotych rondelkach, odwraca się na chwilę, a oto unosi się pokrywa, zając się pokazuje, strzyże uszami i znika; z kurka leci prawdziwa woda; służąca — lalka myje śliczne talerzyki i szklaneczki. — Nie wiadomo na co wprzód patrzeć; w powoziku siedzą dwie panie; jedna w różowej, druga niebieskiej sukni, koniki małe, prześlizczne, stangret na koźle, jadą na spacer, parasolkami osłaniają się od słońca, na łące siedzi pasterka, w koło niej baranki z prawdziwą wełną.

Salony, pokoje, mebelki, śliczne szafki pełne maleńkiej bielizny dla pań i dzieci — lalek, kufereczki podróżne, bo lalki podobno teraz podróżują po świecie.

Blisko wejścia był dzisiaj jakiś ruch niezwykły, dzieci mnóstwo tłoczyło się, biegło w stronę, skąd dochodziły dźwięki jakiegoś instrumentu; poszłam i ja w tę stronę i zobaczyłam pochód Indyan na słońcach; siedzieli oni na grzbietach tych ogromnych, spokojnych zwierząt, na ławeczkach pod baldachimem, grali na jakichś dziwnych piszczałkach, żeby zwabić jak najwięcej małych widzów na jakieś dziwaczne przedstawienie do pawilonu okrągłego, gdzie mali Indianie, poubierani jaskrawo i fantastycznie w piórach na głowie wyprawiali skoki, tańce, bili w bębni, wydawali jakieś głosy, niby ptasie i podchodzili blisko

do dzieci paryskich, które, zwłaszcza młodsze, z przerażeniem cofały się w tył przed temi piernikowemi twarzami i wołały, żeby mamy dawały im drobne pieniądze.

Po ukończonem przedstawieniu poszłam zwiedzić Pałac Świątła, który prześlicznie wygląda, zwłaszcza wieczorem, bo wygląda cały niby ze szkła różnokolorowego, oświetlonego wewnątrz światłem elektrycznym. Wchodzi się jakby do zaczarowanego zamku po szklanych schodach, świecących, jak brylanty z poręczą czerwoną. W jednej z sal przy ogromnym ognistym piecu siedział chłopiec, może czterastoletni i robił ze szkła roztopionego różne drobne przedmioty w moich oczach. Długim prętem wyciągał z pieca szklaną kulę i nim zdołała zastygnąć, zręcznie i prędko wyrabiał co kto żądał: pieska, kotka, szklaneczki, garnuszki, kapelusiki i jeszcze ciepłe podawał do rąk obecnych. On sam biedny co chwilę pot sobie obcierał, tak straszne gorąco było u tego pieca. Na stole żelaznym obok niego leżały kolorowe proszki, on zaś maczał tę kulę szklaną w coraz to innym kolorze, z kądem wszystkie przedmioty przybierały prześliczne barwy zielone, żółte, liliowe i czerwone. Zażądałam pieska dla Stacha i podziwiałam, jak ten chłopczyk z niekształtnej kulki urobił nóżki, ogonek i uszy. Za pół franka już miałam w kieszeni upominek dla Stacha, który to wszystko zwiedzał podczas wakacyi z kim innym i bardzo się tem zachwycał.

Bardzo też interesujące były modele szkółek i ochronek dla dzieci. Sale z maleńkimi ławeczkami i woskowe dzieci w fartuszkach, robiące robótki, to niby czytające w książeczkach Zakonnica stoi na środku z podwieczorkiem w koszyku: jedno już podbiegło do niej i dostaje bułeczkę i czekoladkę. Dalej widać małą sypialnię, sierotki już leżą w białych łóżeczkach, przy każdym mała umywalnia, którą w rzeczywistości małe dziewczynki w wielkim utrzymują porządku; obok jest wystawa robótek dziecięcych; ileż tam ładnych rzeczy. Plecionek, szydełkowych serwetek, kołderek, ubiorków dla lalek, rysunczków łatwych, zeszytów z kaligrafią, wyszywań na kanwie, wszystko robione naprawdę przez małe dzieci w ochronkach paryskich pod okiem dobrych i zawsze wesołych zakonnic.

Mareorama to jedna z najciekawszych rzeczy wystawowych: wchodzi się niby na statek, z dwóch stron morze, podróż, masz złudzenie, że jedziesz i mijasz różne miasta, porty, śliczne wybrzeża, majtkowie chodzą, maszty, liny okrętowe, łódki wszystko jak na prawdziwym statku. Morze Środkie niebieskie, czasem spotykamy się z innym statkiem, nareszcie wołają, że widać już Wenecję, wychylają się zdala domy, wieże, gondole; Włoch, Włoszka siadają w łódkę tuż przy statku i śpiewają przy mandolinie znaną pieśń, Santa Lucia. Wieczór zapada, ogień się pali, szkoda, już znów jedziemy dalej, wtem rozlega się głos kapitana statku: „burza straszna nadciąga, kto się lęka niech schodzi do kajuty,” naturalnie nikt się nie lęka, tylko ciekawy patrzy, jak będzie owa burza wyglądała. Jednak na pierwszy grzinot, piorun, Stach przybliży się ku mnie i mocniej mnie trzyma za rękę — błyskawice, wycie wiatru, mocne kołysanie statku i wołanie majtków: „ratunku, człowiek wpadł w wodę,” zarzucają liny, przechylają się, publiczność mimowoli doznaje zupełnego złudzenia i czeka prawie z trwogą, czy uda się majtkowi wyratować nieszczęśliwego; już, już udaje im się ciągnąć coś powoli i wrzucają przez balustradę, drewnianego majtkę, znoczonego z okrzykiem tryumfu, burza się uspakaja, wjeżdżamy do portu, obrazy, złudzenia znikają i głos urzędnika woła: „*par ici la sortie.*” Znajdujemy się na ulicy przed zwykłym wystawowym pawilonem, obudzeni jakby ze snu, tylko wielki napis „Mareorama” przypomina, żeśmy dopiero co byli w Konstantynopolu.

Stachowi nic to nie przeszkadza prosić „kup mi ma mo nugatu!” a właśnie Arab w zawoju i burnusie zapraszająco namawia swoim cudzoziemskim akcentem: *bono nou-gat! bono! bono!*

Wandeczko! chcesz, pójdziemy do teatru? Pyszne

przedstawienie: *Poudre de Perlimpimpin*, (*Proszek Perlepepa*), Same dzieci w teatrze, przesliczne dekoracje i starsi usta z podziwu otwierają.

Jest król, który na chrzciny swej córki nie zaprosił jednej wróżki z okolicy, ta się zemściła i córce królewskiej wzięła serce i umieściła je gdzieś za siedmiu górami, za siedmiu lasami. Wszystkie akty i sceny tej sztuki, to podróże króla i królewicza szukających serca królowej. Różne mają przygody i awantury, blakają się po całej Europie, przybyli też do Laponii: stoi chatka Lapończyka, a w koło krążą białe niedźwiedzie, więc król boi się, chce się zbliżyć, niedźwiedz ku niemu, ale nic złego nie robi, tylko łapą za szyję na powitanie obejmuje. Wśród przeslicznego krajobrazu zimowego, Laponka siedzi przed drzwiami i wita króla: *bonjour roi*, a on jej na to: *bonjour Laponne*. Potem król wchodzi zaproszony do owej chaty, ale musiał tam coś złego zrobić, bo nagle z za drzew ukazuje się mnóstwo białych, jakby ze śniegu urobionych żandarmów, mnożą się mnożą, zapełniają całą scenę, chwytają króla i z nim znikają.

W następnym obrazie widzimy znów króla w jakiejś gospodzie, chce odpocząć po tylu przygodach, ale na próżno, gospoda jest zaczarowana, obrazy wiszące na ścianie to jest panie i panowie wymalowani ruszają oczami, otwierają usta, śpiewają. Król przywdziewa szlafmycę, szlafmyca ucieka z głowy prosto w usta tych antenatów, którzy ją ze smakiem zjadają. Królewicz wyciąga z podróżnego kuferka jakieś nocne szaty, wszystko mu z rąk ucieka; zrozpaczeni rzucają się na łóżko, jest chwila ciszy, zasypiają; aliści komoda przy ścianie stojąca wolno zaczyna się odsuwać, poruszać, wychodzić na środek pokoju, a dalej szafka, stoły, krzeselka zbliżają się do siebie, zaczynają tańczyć, fruwać, łóżko króla także; on zbudzony siada, patrzy na ten balet mebli, wreszcie ucieka z gospody, a za sprawą owego cudownego proszku zdąża do kąpieli odmładzających — *Bain de Jouvence*, napisane nad drzwiami, to znaczy kąpiel młodości. Wchodzi jako stary król z siwą brodą, a wybiega wkrótce w lekkich podskokach, tocząc przed sobą kółko dla zabawy jako chłopczyk swawolny. Lecz po tej kąpielowej metamorfozie rośnie się bardzo prędko, chłopczyk coraz wyższy, już niby wąs rysuje mu się na twarzy, młodzieniec chodzi po scenie, spotyka panienkę, żeni się z nią, wychodzą na spacer, powracają już trochę starsi; kilkoro dzieci ich otacza, ale nim kurtyna zapadnie, z dzieci robią się ludzie, uchodzą, a król sam tak stary, jak przedtem, idzie w dalszą drogę i natrafia na królestwo z porcelany.

(d. c. n.)

Pobróz łodzią na sztucznej rzece w Kolumbii.

W Kolumbii brytańskiej (osada angielska w półn. Ameryce, między górami Skalistymi, a oceanem Wielkim) na stokach gór, urządzone jest oryginalna komunikacja za pomocą rzek sztucznych, a właściwie potoków górskich, ujętych w drewniane koryta. Rzeki te, przypominające znane na północy góry lodowe, ciągną się czasami na kilka mil

angielskich i zastępują tam kolejki łańcuchowe i hydrauliczne, a są znacznie tańsze. Posługują się nimi przeważnie robotnicy, którzy na szczytach gór pracują nad cięciem słynnych Wellingtonii, olbrzymów kalifornijskich. (Drzewo z rodz. szyszkowatych, *Wellingtonia gigantea*, dorasta 300 stóp wysokości i 80 obwodu) Dla komunikacji służą łodzie, w formie grubo ciosanych i zbitych koryt, zaopatrzonych w ławki, na których zasiadają pasażerowie. Szybkość tych pociągów jest bardzo znaczna i wynosi około milę angielską na minutę. Przewoźnik hamuje rozpęd za pomocą haka, jak to czynią w górach lodowych. Rysunek nasz przedstawia jedną z tych rzek kolumbijskich, w chwili spławiania po niej łodzi. Można z tego mieć wyobrażenie o urządzeniu tej osobliwej komunikacji.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

Od Poety dla Literata.

Po kamieniach huczy woda, a cicho płonie na głębi, szukają prawdy w czynach, po zachceniach nie sądź ludzi. Kto nie zdolny czuć prawdziwie, ten się pieści szumem słowa, głośny i swawolny potok, mało w sobie mieści wody. Lecz cisza spokojnej toni zwiastuje zwykle głęb wielką, kto w duszy czuje głęboko, nie trwoni na wiatr swych uczuć.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Od Haliny dla Maliny.

We wsi Kromołowie szukaj mej kołyski,
Bo światło tam dzienne ujrzałam,
I małem dziecięciem w Częstochowie bliskiej
Ho! Matce Najświętszej oddałam.

Za młodu po miastach nie bywałam wiele,
Lecz Warta i Sieradz mię znają,
I tam gdzie Kaliska równina się ściela,
Też w Kole mię cenią, kochają.

W Pyzdrach z młodszą siostrą poznałam się miłą,
I odtąd na dolę niedolę złączone
Z podwójną na zachód dążyłyśmy siłą.

RÓZWIĄZANIA DO N-ru 34.

1) Rano. 2) Nora. 3) Aron. 4) Arno. 5) Oran.

Niteczki Aryadny:

Jest pewna siła, o dziecę moje!
Co ducha krzepi i nudy skraca
Co skroń ozdabia w szlachetne znoje:
Wiesz jak jej miano? — Zowie się praca.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Kto był pan Pasek? (z ryc.). — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené-Morzkową. — Przygody królewicza Edwarda. — Ludwik Kondratowicz (dokończenie). — Dzienniczek Wańdzy. — Podróż łodzią na sztucznej rzece w Kolumbii (z ryc.). — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Imieniny babuni, przez A. Z. (z ryc.). — Osika i topola (legenda) przez Kaz. Kalinowskiego. — Królowa Macierzanka, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Dzieci w podróży. — Łamigłównki i rozwiązania. Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 20 Августа 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

IMIENINY BABUNI.

Stasia, Justynka, Ewunia, Zosia i Helenka wstały dziś bardzo rano, ubrały się bardzo starannie, uważnie odmówiły pacierz i usiadły cichutko w jadalnym pokoju.

— Co to się znaczy, że dzieci dzisiaj takie spokojne — myślała sobie Marysia. Już od pół godziny medytują nad czemś, jak jakie dorosłe osoby, no... no!

I już zaciekawiona dziewczyna zapytać miała o to, gdy w tem — weszła babunia.

Wnuczki powstawszy prędko, podeszły ku niej rzędem i kolejno całując jej ręce, poczęły mówić nieśmiało.

— Ja babuni na dzisiejsze imieniny przyrzekam przez cały rok nie męczyć ani psa, ani kota.

— Ja przyrzekam, że już nigdy nie będę się sprzeczała z siostrami.

— A ja już ani razu nie zerwę sama gruszki, ani jabłka.

— Ja, już od książki uciekać nie będę i nauczę się czytać w tym roku.



— A ja do rozmowy starszych wtrącać się nie będę... zakończyła najstarsza Stasia i dodała. Mama powiedziała nam, że najlepszy byłby dla babuni podarek, gdybyśmy się od tych imienin ze swoich wad poprawiły. Więc my babuni taki podarek dzisiaj składamy. I znowu nieśmiało ucałowały kolejno ręce sędziwej babuni, a ona uszczęśliwiona z tak niezwykłych podarków, pobłogosławiła i uściskała dzieci.

A. Z.

OSIKA I TOPOLA.

LEGENDA.

Kiedy pomarli nasi pierwsi rodzice, Adam i Ewa, Bóg-Stwórca pozwolił ich dzieciom mieszkać w raju.

Razu pewnego zerwała się burza straszna...

Zjawisko to nieznanne było jeszcze synom i córkom pierwszego człowieka, zdziwiło ich tedy niezmiernie.

Nawałnica, grzmoty i pioruny nie przeraziły Abła ani Kaina, jakkolwiek z zajęciem obaj bracia słuchali dziwnego huk i przypatrywali się niewidzianych jeszcze rozmiarów ulewie...

Ale siostry ich wielka, śmiertelna ogarnęła trwoga...

Najbardziej przelęknęła się odgłosu grzmotów najmłodsza dziewczyna, której na imię było Osika.

Zaczęła drzeć na całym ciele i uciekła od rodzeństwa, chroniąc się w zarośla.

Wtedy zjawił się przed nią Anioł i zaczął ją uspakajać.

— Wierz — mówił do niej, że Bóg czuwa nad tobą i nie zrobi ci nic złego.

Lecz Osika trzęsła się ciągle, powtarzając:

— Boję się.

Znowu Anioł pocieszał ją, że Bóg miłuje ją bardzo, bo jest najlepsza z pośród dzieci złej Ewy, nic wszakże nie pomogło. Osika drżała, truchlejąc za każdym piorunem, za każdym podmuchaem wiatru.

Wrócił więc Anioł do nieba.

Aliści Bóg rozgniewał się na Osikę i za to, że wierzyc nie chciała, iż Stwórca czuwa nad nią z nieba — ukarał ją srodze.

Zamienił ją w drzewo, którego listki po dziś dzień, za najłżejszym podmuchaem wiatru drżą trwożliwie przed burzą, jak córka naszych pierwszych rodziców, Osika.

Jej też imieniem dotąd nazywamy to drzewo.

Siostra Osiki, najstarsza z córek Ewy, smukła kokieta, na którą bracia wołali Topola, tymczasem wspinała się na pagórek, mimo największej burzy.

Pałała ją ciekawość.

Ileokroć ognista błyskawica niebo otwierała na mgnienie oka, Topola ginęła z ciekawości, co też jest tam, w tem niebie dalekiem, zakrytem chmurami, przez które co chwila błysnie zaledwie płomień — skąd dolatuje tylko odgłos wystrzałów i skąd woda leje się strugami.

Zdawało jej się, że coś zobaczy przez otwór ognisty w czasie błyskawic, gdy się dostanie na szczyt pagórka.

Wspinała się więc coraz dalej...

Wtem nagle w oczach braci i sióstr zniknęła, a z nią i ów pagórek...

Natomiast dzieci Ewy ujrzały smukłe drzewo, tak wysokie, że się zdawało, iż w niebo sięga.

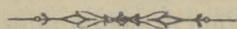
To była ich siostra Topola, którą Bóg w drzewo przemieniwszy, w chwilę później ukarał za ciekawość.

Znowu niebo otwarło się krwawą łuną i zamknęło zaraz.

Rozległ się grzmot straszny, poczem z nieba piorun strzelił prosto w topolę — strzaskał ją w mgnieniu oka i spalił wobec przerażonych dzieci Ewy.

Został tylko pień drzewa, który po latach zazielenił się znowu świeżemi gałązkami i rozmnożył po całym świecie smukłe, niebotyczne drzewa, rosnące dotąd — ku przestrodze i na pamiątkę kary Bożej, za zbytnią ciekawość ludzką.

Kazimierz Kalinowski.



Andrzej Niemojewski.

KRÓLOWA MACIERZANKA.

(Dalszy ciąg.)

ODSŁONA VI.

(Sypialni królowej, królowa nad łóżkiem syna).

Królowa.

Śpij mój malutki!
Na polu wicher pędzi tumany,
Na krwawej wojnie ojciec kochany...
Duszy twej jeszcze obce są smutki,
Śpij mój malutki!
Co rano pytam, czy on tam żywie
I żali wróci do nas szczęśliwie?
Płacę... Ty tylko nie wiesz, co smutki,
Śpij mój malutki!

(Słychać stukanie do drzwi).

Kto tam? Niewolno... Słyszę stapania...
Gdzie straż, co moje drzwi wciąż osłania?
Hej, ochmistrzyni!... W drugiej komnacie
Śpi... Ileż razy trza wołać na cię!

(Otwierają się podwoje, wchodzi wojewoda z oddziałem żołnierzy).

Kto to? Jak śmiecie wkraczać w podwoje?
Precz, precz, bo dziecię zbudzicie moje!
Ty, wojewodo? Oddział żołnierzy?
Królowa własnym oczom nie wierzy!

Wojewoda *(do oddziału).*

Rzędem przystanąć. Bacność, żołnierze!
(do siebie).

Jakże tu spełnić, gdy litość bierze!
(do królowej).

Królowo! Rozkaz z obozu dany
Każe mi ciebie brać przez dworzany
I z synem w morskiej pogrzyźć toni...
Widzisz siwiznę na mojej skroni,
Widzisz lzy w oczach... To nie dla zdrady,
Rozkaz królewski — i — niema rady!

Królowa.

Czy dobrze słyszę? Z króla rozkazu
Z synem? Nie, serca król niema z głazu!
To zdrada, starcze, zdrada z twej strony!
Kiedy powróci mąż ulubiony,
Odpowiesz gardłem!

Wojewoda *(dobywając papier).*

Czytaj to, pani!

(Królowa czyta i wybucha płaczem).

Śmieją się chyba w piekle szatani,
Co mu takowy rozkaz poddali...

Królowa.

Nie, nie! Ach, jeszcze uwierzyć trudno!
Więc śmierć nas czeka, dziecino miła!
Ojciec, małżonek zbirów nasyła...
Starcze ja idę, strąć mnie do fali,
Lecz oszczędź syna!

Wojewoda.

Biedna królowo!

Święte jest dla mnie monarchy słowo!
Rozkaz wyraźny, więc w wód głębinie
Synek twój śliczny wraz z tobą zginie!

Królowa

Więc bierz mnie z synem! Ale ja wierzę
W sprawiedliwości z niebem przymierze!
Toń morska nie tknie mojej dzieciny —
Dalej, żołnierze, wiedźcie w głębinie!

(Żołnierze otaczają królową, która z synkiem odważnie rusza naprzód. Wojewoda woła).

Wojewoda.

Choć działam w trwodze, rozkaz złagodzę.
Nad brzegiem morza statek z kryształu,
Tam ja, żołnierze, wiedźcie pomału,
Smolą wszelakie zalać otwory
A potem w morskie strącić przestwory!

(wznosi ręce).

Spojrzyj na ziemię, Ojczy Niebieski,
Spojrzyj i osądź rozkaz królewski!

ODSŁONA VII.

(Przestwór morski. Kościej płynie wśród fal).

Kościej.

Wody wrą, pryskają piany,
Dalej, ho dalej!
Płyńmy przez szumne bałwany,
Zgarniajmy syczące piany
Po grzbietach fali!
Gdzieżeś w gołąbkę zmieniona
Córko jedyna?
Wyciągam drżące ramiona,
Chwytam oddechy do łona,
Wszędzie głębina!

(Ukazuje się miotany falami statek kryształowy).

Co tam niesione przez wały
Błyska w oddali?
Świecą rzeźbione kryształy,
W niej pani i synek mały —
Zginą wśród fali!

(Nad wodą ukazuje się biała gołąbka).

Gołąbka.

Po wzburzonej wód głębinie
Kryształowy statek płynie,
Matka z synem porzucona,
Odepchnięta, pogniębiona...
Nieście wiatry mnie po niebie!
Gdzieś ty, ojcze? Szukam ciebie!

Kościej.

Córko moja, to ty w górze?
Ukochana, utracona,
Niech przytulę cię do łona!

Gołąbka.

To ja, ojcze, na lazurze,
Ja, w gołąbkę zamieniona,
Ukochana, utracona!

(d. c. n.)

DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

— To dobrze, że my już tego nie będziemy widzieli! — woła Helenka. — Żal pomyśleć, że te śliczne góry znikną kiedyś!

Rozlega się głos trąby: to pewnie stary góral, który tu zawsze wita przechodniów muzyką... Ale nie widać go nigdzie, choć trąbienie nie ustaje, dopiero Janek spostrzega staruszkę siedzącego na skale, pod otworem niewielkiej jamy, osłonięnej jodłowymi gałęziami. Tam staruszek nocuje i przepędza dni słotne, za jedyną towarzyszkę mając małą dziewczkę, swoją wnuczkę; dobrzy to znajomi naszych przyjaciół, którzy nie miną ich nigdy, żeby nie wesprzeć jałmużną. I teraz Tadzio i Janek wspinają się po skale jak kozy, niosąc dla staruszkę parę centów, a dla małej bułeczkę. Minawszy siedzibę staruszkę, całe towarzystwo wchodzi na mostek nad potokiem, wpadającym do Dunajca: ten most to granica — z drugiej strony już węgierska ziemia. Na lewo od mostu, po obu stronach potoku, wysokie, strome, nagie skały, tworzą wąwóz, którego środkiem płynie potok. O! jak żeby dzieciom chciało się zapaść w ten wąwóz! ale niema czasu na zbaczanie i nóg trzeba oszczędzać, bo droga do Czerwonego Klasztoru daleka.

Przeszedłszy most, idą wciąż brzegiem Dunajca, lecz droga tak się kręci, że jedną i tę samą górę okrąża się z różnych stron i możnaby myśleć, że to coraz inna, odmiennej co chwila przedstawia się postaci.

Helenka woła:

— Zmiana dekoracji!

— „Jak w teatrze!” Wiemy zawczasu co powiesz... Helenko, wystrzegaj się powtarzania tych samych dowcipów!

I Tadzio ma słuszność, najzabawniejszy żart, powtarzany kilka razy, przestaje być zabawnym.

Przy drodze widać słupy z napisami, ale niewiadomo co one znaczą, bo napisy tylko po węgiersku, a że węgierski język niepodobny do żadnego innego, więc nawet domyślić się nie można.

— Jednak to przykro być w obcym kraju i nie rozumieć, co ludzie mówią — robi uwagę Helenka.

— Bierz stąd naukę — mówi z wielką powagą Tadzio — że kto chce podróżować, powinien uczyć się obcych języków. A znam takie dziewczynki, które lubiłyby jeździć po całym świecie, ale jak przychodzi do lekcyi... to..

I kończy chrząknięciem, ale Helenka udaje, że ta przemowa nic ją nie obchodzi..

Tymczasem wędrowcy dochodzą do polanki, na której pod samym lasem, na pochyłości góry stoi budynek, z napisem: *Csarda*.

— To tu pewnie tańczą czardasza? — pyta Janinka.

— Czy tańczą, nie wiem — odpowiada pan Nałęcz — ale, że to oznacza po węgiersku *gospodę*, więc możemy tu pokrzepić nasze wyczerpane siły.

Propozycja zostaje przyjęta z zapalem, i dzieci pokrzepiają się kawą, mlekiem i bryndzą. Janek, jak zwykle, rej wiedzie przy jedzeniu, aż mu się świeci rumiana buzia; ale też potem szparko idzie na czele pochodu z góraliem niosącym rzeczy i nie zwalnia ani na chwilę, pomimo, że musi dobrze zbierać nóżki, żeby dotrzymać kroku góralowi.

VI.

Przygoda Janka w Śmierdziączce.

— Dlaczego czerwony klasztor? Powinien się nazywać biały, nie czerwony! — woła Helenka, gdy przeszedłszy długą, lipową aleję, wiodącą od brzegu Dunajca, stanęli przed murem, otaczającym gmachy klasztorne, zabudowane w czworobok jak twierdza.

— Dlatego, żeby Helenka miała o co pytać! — odpowiada trochę niecierpliwie Tadzio.

— Bo powinien się nazywać biały, nie czerwony! — upiera się Helenka, która miewa zapędy zrządności i uporu, gdy jest w złym humorze.

— Nieznośna jesteś z tem zrządzeniem; — oburza się Tadzio.

— A ja wiem dlaczego Helenka zrządzi — dodaje Janka, — bo głodna, a jak głodna, to jest zawsze nieznośna!

Może to i prawda: i wy czytelnicy, znacie pewnie dzieci, które są w złym humorze, gdy im się jeść chce, albo gdy są śpiące? Helenka widocznie należy do ich liczby.

Pan Nałęcz, chcąc zażegnać niezgodę, odpowiada jej na zapytanie.

— Dla tego się nazywa Czerwony Klasztor, że pierwszy jego przeor pokrył budynki klasztorne czerwoną dachówką, od tego poszła nazwa klasztoru..

Helenka uspokaja się po tem objaśnieniu i wchodzi wszyscy w podwórze. Gmach opuszczony i zaniedbany, robi smutne wrażenie; w ogrodzie poklasztornym widać jeszcze ślady tak zwanego *eremu*, to jest małych domków, otoczonych ogródkami, w których to domkach zakonnicy mieszkali, każdy osobno, schodząc się tylko w godzinach modlitwy w kościele. I opowiada pan Nałęcz, krwawe dzieje tego klasztoru, który był początkowo klasztorem Kartuzów. Zbudował go był w 1307 roku, Kokosz z Łom-

nicy, jako pokutę za zabicie syna żupana Spiskiego, Fryderyka; lecz już w sto kilkadziesiąt lat później, rozpoczęły się napady różnych nieprzyjaciół, czeskich i polskich husytów, którzy ze Śląska tu wpadali, ci sami, co zrabowali klasztor na Jasnej Górze i chcieli uwieźć obraz Matki Boskiej. Potem, za czasów Reformacji, wyznawcy tak zwanych wówczas „nowinek,” liczni na Śpiżu, robili najeżdż na Czerwony Klasztor, który pod koniec XVI-go wieku upadł zupełnie, i zakonnicy powymierali. Dopiero w sto lat później osiedli tu Kameduli z Włoch sprowadzeni przez biskupa, i oni to pobudawali te domki, których ślady pozostały dotąd, lecz w 1782 roku klasztor został zniszczony a zakonnicy rozproszyli się po świecie. Od tej pory zaczęła się ruina klasztornych gmachów i kościoła... Dziś zamieszkuje tu już tylko leśnicy okolicznych lasów biskupich.

Dzieci przysłuchują się z zajęciem opowiadaniu pana Nałęcza.

Dunajec szumi tak samo, jak przed wiekami, gdy krew ludzka płynęła tak często w tych murach... Na drugim brzegu strzelają w górę skaliste wierzchołki Trzech Koron, prostopadła ściana schodzące do wody i patrzące z równą obojętnością na gromadkę wesołych dzieci, którym ojciec opowiada stare dzieje, jak ongi patrzyły na zacieklých husytów, mordujących mieszkańców klasztoru...

(d. c. n.)

ZAGADKA.

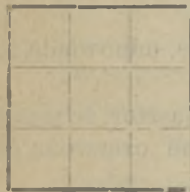
Mniejsza o to, gdzie to było,
Wśród dolin, czy gór,
Jednooki wraz z dwuokim
Wszczęli o to spór,
Który z nich widzi więcej...

Hej, nie dajcie czytelnicy
Trwać im w niepewności męce,
Wszyscy, wszyscy bez różnicy
Grześ czy Ańdzia, Jaś czy Mania,
Przysyłajcie rozwiązania.

Lach.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ul. Lucyan P.



W kwadracie o 9-ciu przedziałkach rozmieścić liczby od 1 do 9 włącznie w ten sposób, aby się liczby nie powtarzały i ażeby też liczby we wszystkich kierunkach dały sumę 15.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34.

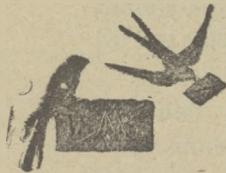
Zagadki w obrazku:

Jeden z jamników jest pomiędzy drzewami.
Drugi po przeciwnej stronie, niedaleko kury.
Trzeci z odwrotnej strony nad lisem.

Szarady: Ko — ło — brzeg.

Łamigłównki literowej:

Bóg nie opuści
Kto się Nań spuści.



Skrzynka do listów.

List twój Muszko, nie zastał jeszcze Jaskółki, niebawem jednak powróci z letnich wędrówek i odpisze ci osobiście. Donosimy ci tylko, że nagrodę za kalendarz każdej chwili w Redakcyi naszej odebrać możesz, żalujemy, że pierwsza przesyłka zaginęła. Słusznie czynisz zabierając się z ochotą do pracy, tem łatwiej przyjdzie ci z końcem wakacji wdroyć się w tryb zajęć obowiązkowych. Nie wątpimy też, że tak czynna osóbką, która z żalem wspomina, „iż ani połowy tego nie zrobiła, co zamierzała” do owych zajęć i pracy wróci z przyjemnością.

Pisziesz nam Ciszó Wieczorna, że będąc od lat kilku czytelniczką „Wieczorów,” teraz dopiero poraz pierwszy odważasz się przesłać nam arytmogryf własnego układu. Skoro zrobiłaś początek, mamy nadzieję, że na tem nie poprzestaniesz i zaciągniesz się do szeregu stałych naszych korespondentek. Wszakże, nie powinna być trudną wymiana myśli z przyjacielem, gotowym zawsze służyć dobrą radą, przysporzyć wiadomości pożytecznych w główkach, a szlachetnych uczuć w serduszkach waszych, który rad z wami i pośmiać się i zabawić wesoło. a takim przyjacielem właśnie pragnie być dla was Redakcyja pisma naszego.

Dobrze robisz Samarytanko, że z botaniki przyswoić sobie pragniesz dział, który znać dokładnie jest dla każdej kobiety rzeczą pożądaną. Zbierasz rośliny lekarskie, iżby mieć pod ręką, jak się wyrażasz, małą apteczkę domową. Trafnie też zaliczasz do „wargowych” czteropręcikowych rośliny zawierające olejek lotny, mające zapach aromatyczny i znajdujące w środkach lekarskich zastosowanie. Do rzędu takich, u nas w kraju rosnących, należą między innymi: mięta, macierzanka, tymianek, lebidka, szalwia i t. d. Używany dla chorych rumianek, zaliczony do rzędu roślin promienistych, ma jak wiesz kilka odmian, rumianek leczniczy prawdziwy, ma kwiatolozę stożkowatą, wewnątrz puste, kiedy przeciwnie, tak zwany psi rumianek, ma kwiatolozę płaskie, wewnątrz pełne. Rumianek zaś włoski czyli rzymski, gorzki w smaku, rośnie dziko w południowej Europie, a u nas bywa tylko hodowany w ogrodach. Życzymy ci obfitego zbioru tych pożytecznych roślin.

Pochwalamy oszczędność twoją Janku K., że przed kupnem jakiego przedmiotu, zastanawiasz się zawsze, czy jest on istotnie dla ciebie niezbędny. Złem jest marnowanie choćby najdrobniejszej kwoty pieniędzy, które mogłyby głodnego nakarmić, ziębniętego okryć, słabego pokrzepić. Pamiętajmy też zawsze o zdaniu Franklina, wielkiego myśliciela i męża stanu amerykańskiego: strzeżcie się, mówił, małych wydatków, bo małe strumyki tworzą wielkie rzeki.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:

Ciszó Wieczorna, Bławatek, Michał Botha, M. D., Zuzia R. i Transwalczyk.